

Taniec mnie nakręca

Programy telewizyjne typu „You Can Dance” tworzą wrażenie, że tańczyć może każdy, bez gruntownego wykształcenia i przygotowania. Uczestnikom mówi się, że są wspaniali, bo się szybko zakręcili w odpowiednią stronę. Tymczasem, by zrozumieć, czym jest balet, trzeba przebyć pewną drogę, wiele przeżyć i przemyśleć – uważa ROBERT SARNECKI, tancerz Teatru Muzycznego w Łodzi.

Magdalena Sasin: - Obchodzi pan jubileusz 30-lecia pracy artystycznej. Co należy zrobić, by utrzymać się tak długo w formie w zawodzie tancerza, który nie pozwala na długą karierę?

Robert Sarnecki: – Polubić to, co się robi. To jest najważniejsze. Gdy się lubi swój zawód, pokonywanie trudności przychodzi łatwiej. Na pewno znaczenie ma tryb życia: uprawianie sportu, właściwa dieta, ogólna higiena. Wiadomo, że trzeba codziennie ćwiczyć. Oprócz pracowitości przydaje się też trochę szczęścia do ludzi. Tancerz nie może funkcjonować samodzielnie. Na jego sukces składają się choreografia, światło, scenografia i muzyka.

A czy pan ma szczęście do ludzi?

– Miałem szczęście spotkać Artura Żymelkę, choreografa i kierownika baletu w Teatrze Muzycznym w Łodzi, który wprowadza role do spektakli specjalnie z myślą o mnie. Choreograf jest w stanie zauważyć, co dany tancerz potrafi wykonać i wie, jak to pokazać na scenie.

W jakich rolach czuje się pan najlepiej?

– Jestem tancerzem charakterystycznym, sprawdzam się w małych formach. Artur Żymelka dla mnie stworzył rolę pijaka w „Łajzie”, powierzył mi wykonanie tanga w „All That Jazz Between Us” i układ „Mister Cellophane”, który wymaga zastosowania pantomimy. Te role, nawet jeśli technicznie nie są zbyt trudne, wymagają ogromnego zaangażowania emocjonalnego.

A klasyka?

– W klasyce panuje emocjonalny dystans, tancerz jest ukryty za standardowymi ruchami, figurami, układami. Wychowałem się na klasyce i w młodości bardzo ją lubiłem, ale w moim wieku już się o tym nie myśli. Klasyka kojarzy się z młodością. Młodość trwa krótko i tak samo ulotny jest balet.

Co najbardziej lubią widzowie?

– Widzowie przede wszystkim chcą się bawić. Preferują hity, te przedstawienia, które znają: największymi owacjami nagradzają „Zaczarowany świat operetki” czy „Galę sylwestrową”. Dopiero wychowujemy publiczność, która będzie zainteresowana baletem. Na przykład miłośnicy Normalsów przychodzą na „Łajzę” i przy okazji oglądają układy choreograficzne.

Czy program pańskiego spektaklu-benefisu, który odbył się w kwietniu na scenie Teatru Muzycznego, odzwierciedla pańskie upodobania artystyczne?

– Dzięki temu spektaklowi mogłem pokazać się w różnych rolach, które tańczyłem w tym teatrze. Reżyser Artur Żymelka starał się połączyć klasykę z ulubionym przeze mnie tańcem

charakterystycznym.

Jaka była pana artystyczna droga?

- Pokrętnie mam to swoje życie artystyczne. Jestem niepokorną duszą i ciągle czegoś szukałem, przemieszczałem się więc wielokrotnie. Pochodzę z Warszawy, w stolicy skończyłem szkołę baletową. To, że mieszkam i pracuję w Łodzi, to czysty przypadek, jak to w życiu. Początkowo tańczyłem w Teatrze Narodowym. Potem przeniósłem się do Krakowa do Teatru Tańca „Silva Rerum”, gdzie pracowałem przez półtora roku, wróciłem do Warszawy. Po pięciu latach do Łodzi przywiodła mnie sytuacja osobista: w stolicy nie miałem szans na mieszkanie, a tu dostałem pokój w domu aktora. W łódzkim Teatrze Wielkim pracowałem do roku 1994, potem zatęskniłem za stolicą i znów tam wróciłem, ale tym razem już nie do Teatru Narodowego, tylko do musicalowej Romy. Tam pracowałem rok, ale wciąż nie potrafiłem usiedzieć na jednym miejscu, pojechałem więc do Portugalii, by występować w programie musicalowym w kasynie. Dzięki temu zetknąłem się z zupełnie innym stylem tańca. Po powrocie do Polski zaangażowałem się do „Webber-Gali” (w reżyserii Darryla Robinsona, premiera w Teatrze Muzycznym w Łodzi w 1994 r. - przyp. red.), z którą przez siedem lat zjeździłem niemal całą Europę. Były to czasy ogromnej popularności musicalu, zwłaszcza w Niemczech. Wreszcie w 2002 r. trafiłem do łódzkiego Teatru Muzycznego.

Co zmieniło się w pracy tancerza przez te lata?

- Kiedyś tancerzom i wszystkim artystom okazywano więcej szacunku. Teatr otaczała aura tajemniczości, a tancerze nawet „na mieście” spotykali się z podziwem i pewnym dystansem. Obecnie prestiż tego zawodu znacznie zmalał. Programy telewizyjne typu „You Can Dance” tworzą wrażenie, że tańczyć może każdy, bez gruntownego wykształcenia i przygotowania. Uczestnikom tych programów mówi się, że są cudowni, wspaniali, bo się szybko zakręcili w odpowiednią stronę. Tymczasem, by zrozumieć, czym jest balet, trzeba przebyć pewną drogę, wiele przeżyć i przemyśleć. Niewolnicze naśladownictwo to nie to samo, co własna interpretacja.

Szkoły baletowe są zatem wciąż potrzebne...

- Oczywiście. Ale nie tak dużo, jak w Polsce.

Jest ich pięć.

- Wystarczyłaby pewnie jedna, ale bardzo dobra. Tymczasem poziom naszych szkół nie jest zbyt wysoki, klasy są małe, bo niewiele osób interesuje się baletem, a nauczycielami często zostają osoby, które nie mają do tego powołania.

Z czym musi się liczyć kandydat na tancerza?

- Praca w dobrym balecie to życie jak w klasztorze: codzienne wielogodzinne próby, brak czasu na odpoczynek. Ale to jest jednocześnie cudowne, bo pozwala się zrealizować. Gdy zaczynają się próby do nowego spektaklu, poznaje się nową rolę, człowiek odkrywa w sobie różne możliwości, próbuje, szuka, patrzy w lustro, czyta, myśli. Ten proces twórczy jest ogromnie interesujący, bardzo mnie nakręca.